

Arcymistrz Brzeziński

Z Andrzejem Lubowskim rozmawia Marian Nowy

W dniach 17–21 października odbył się w Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie V Kongres Polskich Towarzystw Naukowych w Świecie. W pierwszym dniu Kongresu, w czasie osobnego seminarium, wspominał prof. Zbigniewa Brzezińskiego. Red. Katarzyna Kolenda-Zaleska przedstawiła swój film *Strateg*, dr Ryszard Schnepf mówił o Zbigniewie Brzezińskim jako globalnym strategu, zaś Andrzej Lubowski wykład, który przedstawił, zatytułował tak, jak tytuł swojej książki *Zbig. Człowiek, który podminował Kreml*. Rozmawiamy z Andrzejem LUBOWSKIM.

Na czym polega wyjątkowość Zbiga – Zbigniewa Brzezińskiego?

Na tym, że był wielkim geostrategiem. Geostrateg to ktoś, kto rozumie, jakie będą za 20–30 lat skutki – polityczne, ekonomiczne, społeczne, militarne – podejmowanych dzisiaj decyzji. Ktoś, kto rozumie jak arcymistrz szachowy. Zresztą Profesor grał w szachy, zaś jedna z jego książek ma tytuł *Wielka szachownica*. Wedle tekstu w „The American Conservative” rzadkim kunsztem geostrategii wykazało się w historii Ameryki tylko dwóch ludzi. Pierwszy to Elihu Root, architekt transformacji Ameryki z kraju stojącego na uboczu światowej dyplomacji w potęgę, laureat Pokojowej Nagrody Nobla w 1912 roku, zaś drugi to Zbigniew Brzeziński, który jak mało kto rozumiał nie tylko istotę sowieckiego totalitaryzmu i imperializmu, ale także znaczenie Eurazji jako klucza do silnej pozycji w świecie.

A jak się zostaje takim Zbigiem?

To rzadki koktajl wszechstronnej wiedzy i niezwykłych zdolności analitycznych. Prawdziwy dar boży. Jako dziecko Zbyszek towarzyszył ojcu na placówkach dyplomatycznych. Raz nie pojechał – gdy ojciec został mianowany konsulem generalnym RP w Charkowie, a zbiegło się to z okresem czystek w Rosji. Ludzie, w tym znajomi konsula Brzezińskiego, po prostu znikali. Ojciec od czasu do czasu przyjeżdżał, opowiadał, a wtedy jeszcze niespełna dziesięcioletni chłopiec chwycił okrucy tych obserwacji. Zaczął pojmować. Zdumiewający jest fakt, że sztandarowe dzieło *Totalitarna dyktatura i autokracja*, napisane przez Brzezińskiego wspólnie z wybitnym politologiem Carlem F. Friedrichem, zaczęło się rodzić, gdy Zbig miał 23 lata. Zaczął doradzać Johnowi Kennedy’emu, gdy miał 29 lat.

Napisał Pan w swej książce, że Zbig w swej działalności kierował się nie tylko interesami politycznymi, ale także zasadami.

Na spotkaniu po śmierci Zbiga, Robert Gates wspominał, że po dojściu Chomeiniego do władzy prezydent Jimmy Carter wysłał Brzezińskiego, a ten zabrał ze sobą Gatesa, na rozmowy w Teheranie z kierownictwem rewolucyjnego rządu Iranu. Przesłanie, jakie przywiózł Zbig, brzmiało: Stany Zjednoczone są gotowe do normalizacji stosunków z nowymi władzami Iranu, i są skłonne udzielić pomocy ekonomicznej i militarnej. To się władzom w Teheranie niesłychanie spodobało, jednak premier Iranu postawił warunek: wydajcie szacha. Brzeziński powiedział „nie”, premier Iranu ponowił żądanie i w tym momencie – cytuję Gatesa – Zbig wstał i powiedział: tego nigdy nie zrobimy, bo byłoby to niezgodne z honorem Stanów Zjednoczonych. Gates kreślił sylwetkę Zbiga jako człowieka szlachetnego, dla którego wartości bardzo się liczą. To on wspierał dysydentów, podczas gdy Kissinger, jego sławny rywal, tak ich unikał, nie chcąc drażnić Sowietów.

Gdy zacząłem pisać książkę o Zbigu i odbyłem kilkadziesiąt spotkań w Waszyngtonie, intrygowało mnie, dlaczego niemal bezgranicznemu szacunkowi wobec Brzezińskiego towarzyszy tak mało sympatii. Był postrzegany jako wyniosły, zimny i arogancki, ale były też inne powody, wynikające z jego polskich korzeni. Stereotyp Polaka – to dla wielu antysemita i rusofob. Brzeziński nie był ani jednym, ani drugim. Natomiast był konsekwentnie wrogiem sowieckiego i rosyjskiego imperializmu i krytycznie oceniał politykę rządów Izraela w kwestii palestyńskiej.



Andrzej Lubowski

Czego możemy nauczyć się od Zbigniewa Brzezińskiego?

Przed wszystkim realizmu. Uświadomienia sobie, co wynika z naszego miejsca na mapie. Nieulegania mitom, bo są one często niesłychanie destrukcyjne. I głębszej refleksji nad tym, co mamy do zaoferowania światu. Od lat mieszkam w Dolinie Krzemowej. Jej siła bierze się z różnorodności kultur, ze zdolności do pracy w zespołach składających się ze wszystkich nacji. Po to, aby wygrać walkę o przyszłość – a jej nie wygramy, składając cudze meble, samochody, albo lodówki – musimy być innowacyjni. Aby takimi się stać, musimy być otwarci na innych i nauczyć się pracować zespołowo.

O potrzebie innowacyjności mówi się u nas akurat ostatnio dużo.

Tylko jak chce się ją budować? Jestem gotów panów Morawieckiego i Gowina – *pro publico bono* – oprowadzić po Dolinie Krzemowej. Bo nie zbudujemy nowoczesnego kraju bez innowacji, a nie zbudujemy innowacji, dopóki nie zrodzi się autentyczna, a nie deklaracyjna symbioza nauki z biznesem. Wystarczy wejść na stronę internetową Stanford University, żeby zobaczyć, jak wielkie pieniądze amerykańska uczelnia zarabia z tytułu aplikacji swych naukowych osiągnięć. A w Krakowie (i nie tylko), jeśli zdolni młodzi naukowcy mają jakiś pomysł i założą spółkę, to są uważani za zdrajców ideałów. Trudno zdobyć na uczelni pieniądze na opatentowanie wynalazku. Droga do awansu to głównie publikacje, które wdarły się na tzw. listę filadelfijską. Inni dowiadują się z nich o tym, co chodzi naszym po głowach, i niekiedy po roku nasze pomysły patentują Japończycy albo Niemcy.

Marzy mi się dzień, kiedy symbolem sukcesu w naszym kraju nie będzie gość, który dostał robotę w zachodnim banku, a wraz z nią wypasioną beemkę, a młody chłopak, który majstruje nad swym pomysłem w garażu, i za to go pokochała piękna panienka...